

**JESTEM  
MARYSIA  
I CHYBA SIĘ  
ZABIJĘ  
DZISIAJ**

**MERY  
SPOLSKY**



# CZYTAJ W KOŁKO

Umiejętność policzyć już każde drzewo po mojej prawej.

Drept, drept, drept, przemierzam odległość od stacji benzynowej do Biedronki!

Gdy mam lepszy dzień, to daję radę aż do mostu, a gdy kondycja słabsza, wyznacznikiem jest wielki krzak w połowie drogi, przy nim mogę spokojnie zawrócić bez wyrzutów sumienia. Najgorszym odcinkiem jest wzniesienie tuż za stacją, bo nogi ewidentnie odczuwają zmianę w podłożu. Wielki wór tłuszczu i kości sunie naprzód, ledwo przenoszę kilogram udźca z jednej nogi na drugą. Aby dodać sobie otuchy, patrzę na buty, które kupiłam specjalnie na tę okazję. Czarno-białe, tylko trochę firmowe, więc nie było aż tak bardzo szkoda pieniędzy. Gdy napada mnie wymaginowana kolka i skręt brzucha, decyduję się na skręt w lewo i odwrót. Zauważyłam jednak pewną zależność, że kiedy niebo szare, a mój wielorybi odwłok wyjątkowo nie chce się ruszyć z łóżka, to kolka przychodzi nadzwyczajnie szybko i łatwo. Tak jakby chciała wywiesić białą flagę i zażądać natychmiastowej kapitulacji. Nie daję się tej iluzji i myślę o tym, że kolkę będę mieć dopiero w domu, zimną, z lodem i cytryną. Biegnę dalej.

Peszą mnie inni uczestnicy tych porannych wyścigów, którzy odziani w neonowe i obcisłe elastany prężą się na wietrze i porozumiewawczo wysyłają znak machania ręką. Mój wzrok wędruje wtedy w dół i udaję, że zauważyłam bardzo istotną rzecz na ziemi, może jakąś biedną mrówkę lub asfaltową dziurę, którą oczywiście trzeba minąć. Ups! Kolejna ręka niezauważona. Wielka szkoda. Nie robię tego w ramach buntu czy silnej woli udowodnienia, że do nich nie należę. Zwyczajnie się wstydzę, bo na nogach mam często dziurę zamiast trzech pasków, a bluza to zwyczajna, szara kangurka, nieprzepuszczająca powietrza. W mojej szafie brak opasek, apaszek, stoperów, garminów i innych przyrządów do poruszania nogami. Jak wylazłam z łóżka, tak zostałam, w bluzie z małą pamiątką po paście do zębów i w dresach. W ten sposób oszukuję swój umysł, że przecież wcale nie będzie żadnych wygibasów, broń Boże, nie zamierzam się pocić, a wyściubienie nosa na dwór ma jedynie charakter przewietrzeniowy.

Ale gdy już nogi przemierzają odległość od bramy do pasów, następuje wielki coming out i organizm wie, że został oszukany. Żadne przewietrzenie, żadne zaczerpnięcie świeżego tlenu,

żadna relaksacyjna przechadzka. Czeka mnie ostry wycisk, wypłucie płuc i płucie sobie w brodę, bo znowu się nabrałam. Najpierw podnoszę jedną nogę i nieśmiało zamieniam trucht w bieg. Drept, drept, drept. Czuję, jak machina cielesna powoli przebudza się do ruchu, jak brzuch uruchamia wszystkie możliwe fałdy, aby podołać ciężarowi, jaki będzie mu dane zaraz dźwigać. Do pracy biorą się ręce, co jeszcze przed chwilą zakrywały usta przed ostentacyjnym ziewnięciem. Nim się obejrzę, już jestem odrwana od ziemi, a wór z kośćmi galopuje niczym utyta antylopa. Wiatr czesze mi włosy i bawi się ze mną w kotka i myszkę. Ciśnie mnie prosto w plecy, tak że niemal odrywam się od asfaltu, lub jest ścianą, którą pcham. Lubię, gdy wieje mi prosto w oczy, aż schną gałki. Włosy układają mi się wtedy idealnie, do tyłu, bez żadnych intruzów w ustach, nosie i w oczach.

Gorzej, gdy wiatr pcha mnie do przodu i niby pomaga w tej codziennej porannej przebieżce. Wtedy nawet najmocniej ściśnięty kucyk nie ma szans i pogubi gilgoczące kosmyki. Wykonuję wówczas paralityczne ruchy odganiaania ręką czegoś na kształt muchy. Ilekroć przejdzie mi przez myśl, aby wyposażyć się w opaskę, przeżywam zimny prysznic w postaci podanej ceny. Przeraża mnie też, że miałabym mieć w domu profesjonalną opaskę do biegów. Czyż nie oznacza to, że byłby ze mnie profesjonalny biegacz? Taki, co na maratonie łapie za banana i łydki ma żylaste? Czy nie jest to przypadkiem niepisany pakt z Chodakowską, który zobliguje mnie do codziennego cardio, nawet w święta? Boję się tej afirmacji i przynależności do tych wszystkich wariatów. Nie dorastam im do pięt i nie odważę się wejść im w paradę. Już za czasów szkolnych los wyraźnie dawał mi znaki, że to nie moje terytorium. Wiecznie ostatnie miejsce w każdych zawodach, zmora kozła i dwie lewe ręce. Zostawię lepiej opaski w sklepie w spokoju. Wybieram kłębowisko włosów na spoconej twarzy i za luźne spodnie, które przy każdym podniesieniu nogi spadają mi z tyłka.

Gdy pokonam to uczucie niewygodny, biegnie się całkiem przyjemnie. Szczególnie gdy minę stację benzynową i wiem, że

największy ból już za mną. Zaczynam nawet odczuwać pewną radość i dreszcze na ciele, choć kompletnie nie rozumiem, z czego tu się cieszyć, skoro wyprzedza mnie nawet podstarzała pani. Czuję, jak mknę, coraz szybciej odhaczam wszystkie drzewa po mojej prawej i zapach trawy dobija mi się do nozdrzy. Staję się Usainem Boltem, moje ciało jest lekkim piórkiem i życie nagle rozświetla się czarującą łuną. Telefon do banku? Nie ma problemu, się zrobi, jak wrócę. Wściekły komentarz? Już nawet nie pamiętam, o co chodziło. Kredyt? Spoko loko. Brak pomysłu, co robić ze swoim życiem? O, jednak coś mi wpadło do głowy. I tak z każdym krokiem napawam się coraz to odważniejszymi myślami i bohaterskimi czynami. Wizualizuję sobie wielką pizzę w ogrodzie i wyjazd w góry, widzę się w kostiumie z gołym brzuchem i przestają mnie wkurzać ci, co wkurzali. Prawie nie zauważam, jak mój wzrok się podnosi i odmachuję wszystkim po kolei, z szerokim uśmiechem na twarzy i dumą w spojrzeniu. Żaden maraton mi niestraszny, a Sklep Biegacza już szykuje dla mnie zniżki.

Na horyzoncie wylania się Biedronka, moja destynacja i mekka sukcesu. To ona rozstrzygnie, czy dziś mam dobry dzień, czy jestem flakiem. Kusicielem w tej okolicy jest burgerownia, z wonią tak oszałamiającą, że aż ślina tańczy kankana. Wiem, że jeśli pobiegnę dalej i przyklepię krawędź mostu, dostanę niewidzialne przyzwolenie na takiego małego, soczystego burgerka, co patrzy na mnie jak kot ze Shreka. Jeśli zaś zdecyduję się na odwrót, będę musiała przywitać się z sałatą i co najwyżej razowym chlebem, bo takie są zasady sprawiedliwości, którą wymierzam sobie sama. Przyciskam więc mocniej i czuję, jakbym właśnie odpalała kolejny bieg swojej cielesnej maszyny, coś skrzypi, stawia opór, ale po chwili wystrzeliwuje przed siebie z mocą fiata abartha. Jestem królową szos, wyścigówką, marzeniem wszystkich mężczyzn. Po tak wielkim sukcesie następuje moment przybicia niewidzialnej pieczętki niczym podpisu w toalecie: byłam, odhaczyłam, zawracam. Choć czeka mnie drugie tyle człapania, to w ogóle już o tym nie myślę. Rozpływam się w świeżym powietrzu, delectuję widokami, uspokajam wzrok, patrząc na horyzont daleko przed siebie.

Błogość otula moje spocone ciało. Biegnę, jakbym właśnie wyszła na wolność po dziesięciu latach odsiadki.

Włącza się we mnie pewien sprzeczny tok myślenia, bo wcale nie chcę wracać do domu. Widzę, jak droga się kurczy, i wiem, że zaraz dobieję do końca, wcisnę guzik w czajniku i otworzę lodówkę. Słońce grzeje mi nos i wiezie mnie prosto pod drzwi, które jeszcze trzydzieści minut temu kurczowo trzymały się mojej dłoni. Wszystko wyło wtedy: „Zostań”. Wymówki sypały się z rękawa jak asy w kasynie, byłam mistrzynią przepowiadania pogody i prognozowałam milion nagłych burz, które uniemożliwią mi przecież wyjście. Tymczasem gdy wracam, czuję nostalgiczną tęsknotę za tym jednostajnym ruchem stóp i regularnych oddechów. Obiecuję sobie, że kupię jutro wygodne legginsy w odblaskowym kolorze i może nawet skuszę się na opaskę. Nie trzeba być przecież profesjonalnym sportowcem, żeby skosztować odrobiny wygody. Mam w sobie tyle energii, że jednocześnie umiem przeglądać dziesięć stron z neonowymi propozycjami i już planować poranne biegi na kolejne dni. Wizualizuję sobie, że pokonam jeszcze większy dystans, wstanę wcześniej i będę pić zielony szejk. Czuję autentyczną radość, gdy sobie to wszystko wyobrażam, bo być może właśnie znalazłam nową pasję, cel życiowy, nowy i zdrowy.

Kolejnego dnia przerywam sen bezlitosnym budzikiem i przestawiam go na późniejszą godzinę. Jeszcze godzinę i jeszcze godzinę... Gdy odczuwam już zbyt mocne przegięcie pały, wysuwam prawą nogę spod kołdry i patrzę w okno. „Zostań, przeziębisz się, chyba są chmury i wiatr”. Przez chwilę czuję się rozgrzeszona i nawet dumna, że tak czule dbam o zdrowie. Podskórnie jednak już dawno puknęłam się w czoło, bo na dworze jest ciepło, a moje ciało za nic w świecie nie wykazuje oznak osłabienia. Wyczołguję się w dresie i szarej bluzie z łóżka, żeby zaoszczędzić czasu, po raz kolejny rezygnuję z nałożenia świeżutkich legginsów, co pręży się na stołku obok. Nakładam buty i ledwo człapię na dół. „Dziś tylko do krzaka, nie musisz wcale więcej”.

Drept, drept, drept, przemierzam odległość od stacji benzynowej do Biedronki i uniem policzyć już każde drzewo po mojej prawej.

# DO MAMY, CO ZOSTAWIŁA NOTES W KUCHENNEJ SZUFLADZIE

Mała, niewidzialna istoto  
jestem tu na świecie  
pustką najedzona  
samotnością rzygam  
miłość mi nie smakuje  
bo nie zanotowałeś mi w zeszycie  
jak długo ją gotować.





# KRÓLOWA KREWETEK

Dlaczego krewetki są tak drogie i tak dobre? Czemu bułka pszen-  
na nie może kosztować sto złotych za sztukę, a razowy chleb na  
prawdziwym zakwasie nie stoi po trzydzieści groszy na półce?  
Z jakiej racji w ogóle pszenica tak tuczy, skoro smakuje tak bo-  
sko, a orkiszowe bajgle mielą się w ustach za karę, z grymasem  
i bez smaku? Przynajmniej gdyby kajzerka kosztowała fortunę,  
to nie kusiłoby, żeby pchać ją do paszczy, zwyczajnie nie było-  
by to opłacalne. Zresztą ponoć kiedyś, dawno, dawno temu, za  
czasów średniowiecza, pszenne produkty były rarytasem i świad-  
czyły o bogactwie. A ten, kto żarł razowy, był lamusem. Planeta  
przewróciła się do góry nogami i nagle wszystko się pomieszało,  
a ja muszę wcinać małe kromki ciemnego chleba i popijać  
niegazowaną wodą, najlepiej ze szklanej butelki, bo przecież pla-  
stikowa to śmierć dla jelit i środowiska. Sama już nie wiem, co  
pakować do ust, a czym się brzydzić, i które opakowania kłamią,







Gdy robię rachunek zysków i strat, wychodzi na to, że warto jeść niezdrowo. Nie trzeba kisić się przy obrusie pełnym nadętych ust i wydętych brzuchów, nie wydaje się na leki antydepresyjne, łykane tylko po to, aby poradzić sobie z kompleksami, nie trzeba ganiać po biomarketach i wyszukiwać orkiszowych mąk oraz przepiórczych jajek. Można iść do okienka z naszykowanym banknotem dwudziestozłotowym i zamówić to, co spełni marzenia, na chwilę sprawi radość i będzie szybkie. Z drugiej strony, gdy zapada noc, a oko sklei się z powieką, wyłazi spod łóżka gigantyczny wyrzut sumienia, który wrzeszczy i grozi, że jak dalej będę śmiecić w swoim własnym ciecie, to się doigram. Zaczynają boleć comiesięczne przelewy na siłownię, sens tracą zakupione buty do biegania, a wizyta u lekarza zaczyna się wiązać z paranoicznym stresem, że do żył trzeba pakować kroplówkę, rak się zbliża i insulina skacze kankana. Mięciutki tost z zapiekany serem nie smakuje już tak kolorowo i zastyga w gardle przy śniadaniu, zaczyna marzyć się jednak ta sałata i wdzięczność na twarzy, że przynajmniej z oliwą można. Dochodzi się do wniosku, że nie da się pochłaniać wszystkiego bez umiaru ani inwestować jedynie w czipsy z jarmuzu. Raz trzeba wybulić i pomęczyć się z awokado na razowym podkładzie, aby innego dnia kupić fryty za pięć złotych. Nie ma wyjść doskonałych, nie ma diet wiecznych i nie ma rozwiązania na to odwieczne pytanie: co pchać sobie do gęby? Moja odpowiedź brzmi: do gęby pchać sobie to, co sprawia, że wyjesz ze szczęścia. W moim przypadku są to krewetki.

AUUUUUUUU  
UUUUUUUU !

**MOI  
PRZYJĄ  
Z NETFLI**

# CIELE

# XA

Odwołuję już piąte spotkanie, bo nie mogę przeoczyć urodzinowej imprezy, na której będzie poncz, całujące się pary w sypialniach rodziców i bejsbolowe kurtki. Moja przyjaciółka jedzie tam zawalczyć o serce chłopca, co włosy ma bujne jak lew i przetarte jeansowe spodnie. Jest zabójczo pociągający, jeździ szybkim samochodem i ma niski głos. W sumie to trochę się w nim podkochuję, choć się kompletnie nie znamy. Dziwna sprawa, a konkretniej *Stranger Things*. Jego czarny charakter zmusza mnie do patrzenia na niego z pogardą, jednak w głębi duszy kibicuję swojej przyjaciółce, aby skończyli razem w łóżku. Co z tego, że ona ma męża, jest grubo po czterdziestce i w zasadzie to nawet nie wie, jak mam na imię. Najważniejsze, że wzbudziła we mnie wystarczająco dużo współczucia przez ostatnie trzy odcinki i stała się moją ulubioną osobą. Jej mąż taki nudny, chrapiący na kanapie, do kuchni ledwo człapie. A ona jeszcze całkiem



zgrabna, na basen chodząca, czegoś od życia chcąca. Czemu nie miałyby spróbować się rozerwać? Na jej miejscu zrobiłabym to samo, bo cóż jej od życia pozostało? Rodzinny minivan i obcisłe garsonki? Krem na zmarszczki? Mąż i tak by się nie dowiedział, bo polot ulotnił mu się lata temu. Jak obserwuję ich z daleka, to widzę wręcz konieczność, aby wyrwała się na chwilę z tapczanowego marazmu, wsiadła do tego szybkiego samochodu i dała się porwać na jedną noc. Mówiłam jej to milion razy i dziś ma się okazać, czy wreszcie posłucha. Odwołałam więc kolejne spotkanie z koleżanką i wieczorne wyjście na miasto. Warszawa poczeka.

Przez całą tę akcję sama zaczęłam szukać jakiegoś łobuza, co okiem by zaświecił i coś wulgarnie burknął. Mógłby mieć tyle samo lat, co ten od jeansowej kurtki, który dość młodo wygląda, na jakieś dwadzieścia parę. Mógłby słuchać podobnej muzyki, ostrej, rockowej, i pocić się tak, by tylko skronie były lepkie i mokre, jak na ekranie. Pali papierosa za papierosem, więc też marzę o palaczu i dymie owiniętym wokół bujnych włosów, długich,

To jest bardzo szybki tekst o bardzo szybkich facetach.  
 Co szybko powodują, że miękną kolana.  
 Szybko kładą rękę na udzie.  
 Szybko stawiają maka.  
 Po porffel sięgają szybkojej niż ty.  
 W szybkim tempie dochodzą.  
 Do wniosku, że cię kochają.  
 Szybkim oddechem powiedzą twoje imię.  
 Zdrobieniem, o którym nie słyszał nikt wcześniej.  
 Lawotne tempo obiorą wieczorem.  
 W szybkim aucie przetrą szybkę.  
 Znikną z piskiem opon.  
 Spojrzą tak, że aż w środku poczujesz.  
 Jak szybko leciśz jak winda do szyb.  
 Spadasz na widok ich szybkich oków.  
 Szybujesz w obłokach po każdym spotkaniu.  
 W tej windzie zawrotne szybko cię wezmą.  
 Oparta o szybę nie oprzesz się nigdy.  
 Szybko cię klepną.  
 Szybko cię zleją.  
 Szybka tza po policzku ci spłynie.  
 Zapomnisz szybko o niskich ich głosach.  
 Szybko wybijesz z głowy ten zapach.  
 Szybko się ockniesz.  
 Szybko ich przekliniesz.  
 Szybko usniesz ich numer z pamięci.  
 Pojawia się szybko mówi w znanadzu.  
 Co sprawią, że szybko nałożysz pończochy.  
 Szybko przecedziesz przez usta dwa słowa.  
 Szybko ich weźmiesz.  
 Szybko im warkniesz.  
 Szybko zostawisz.  
 Znużą się SZYBKO.  
 Więc nie smuć się, rybko.

**SZYBKA**  
**RYBKA**

kręconych, wcześniej przeze mnie znienawidzonych. Sama nie wiem, jak to się stało, że zapragnęłam nagle umawiać się z kimś, kto wygląda jak członek Iron Maiden, nosi białe, wytarte trampki i ciasne spodnie. Gdy pojawia się scena z jego udziałem, coś drży we mnie i wprawia w osłupienie, wzrok kieruję na uwypuklone miejsce w spodniach i ślina cieknie niepostrzeżenie. Śni mi się po nocach jego twarz, choć imię kompletnie nieznane. Całuje mnie, tuli, pozwala dotknąć swoją umięśnioną rękę, więc robię to ochoczo i sikam w majtki ze szczęścia. Zauważyłam pewną tendencję, że na ulicy zaczęli mi się podobać tacy, co go przypominają, choć wcześniej niewidzialnie egzystowali. Obrzydzali wręcz i zdecydowanie nie należeli do branych pod uwagę nawet w awaryjnych sytuacjach. Teraz włos staje dęba na widok dziur w spodniach, naszywek na kurtkach i niechlujnych zarostów. Strach pomyśleć, gdzie mnie życie zaprowadzi, skoro utknęłam raptem na pierwszym sezonie. On dopiero się rozkręca i właśnie zdecydował się zdobyć serce mojej przyjaciółki, choć obie jeszcze nie wiemy, czy zachowa się należycie, czy jak chuj. Sytuacja na razie jest w zawieszaniu, bo muszę iść wyjąć pranie i zrobić kilka ważnych rzeczy. Stres pospiesza moje ruchy, niecierpliwość niechlujnie wyjmuje skarpetki z kosza i przypina do sznurka, jak najszybciej się da. To nie może zaczekać! Telefon musi na chwilę odpocząć, „Nie mogę teraz, oddzwonię”.

Kiedy w końcu przychodzi czas na decydujące starcie, moszczę się wygodnie na swoim ulubionym miejscu, do ust pakuję tekturowe kulki o smaku popcornu i pilotem pogłaśniam atmosferę. Co za idiotka! Nie pojechała jednak, stchórzyła, została ze starym, chrapiącym dziadem na kanapie i wybrała nudę. Tyle razy jej mówiłam, że warto spróbować, że na jej miejscu jechałabym w ciemno. Teraz będzie żałować do końca życia i zostanie nudziarą. Po co stroiła się w sukienkę i wyjmowała szminkę z torby, jak nawet z domu nie wyszła? Dwa odcinki idą do kosza. Zmarnowany czas i nerwy, a już zdążyłam się nagrzać. Rozgoryczona przełączam zakładkę i uwalniam się od zachowawczej decyzji mojej przyjaciółki. Przenoszę się do Syrii, gdzie strach i paraliż przesywają mnie od środka, a na twarzy rysuje się współczucie. Muszę sprawdzić, czy

Pervin przeżyła. Drobną, słodką, młodą, dała się zrobić tym kretnom z ISIS i pojechała nosić burki. Gdy na to patrzę, ulga mnie ogarnia, że nie muszę nakładać czarnych szmat na nos i oddychać przez siatkę. Za każdym razem kiedy ona to nosi, zastanawiam się, co miała w głowie, gdy mówiła „tak” podczas ślubu. Gdybym tylko mogła, przyjechałabym po nią, dała swój telefon, aby mogła zadzwonić gdzie chce i do kogo chce, przejrzeć nowe propozycje wzorów na paznokcie i przeczytać wiadomości. Aby przejrzała na oczy, że żyje w więzieniu, żywi się jedynie pitą, turecką herbatą, a miłość, w którą wierzyła, zrobiła ją w balona. Zabrałabym ją do włoskiej knajpy, pokazała, że panna cotta smakuje lepiej niż baklava, bo nie lepi się tak okrutnie, i wzięłabym ją na zakupy, by wreszcie pozbyła się tej szmaty do kostek i obleśnych ciżemek. Gdy śledzę jej losy, to miewam czasem koszmary nocne, w których zamieniam się z nią miejscami i budzę się obok męża z gnatem w dłoni. Takiego orangutana z brodą, pustką w oczach i gniewem wymalowanym na twarzy. Wierzę wtedy, że nie ma dla mnie odwrotu, że już na zawsze utknę w tej dziurze z cegieł, otoczonej hukiem strzałów i obcych krzyków. Jestem skazana na rodzenie dzieci, kołysanie ich w ramionach ze łzami kapiącymi na podłogę, a moim celem życiowym jest gotowanie papki w lepiącej się kuchni. Śnię, że jeśli już uda mi się dostać telefon, to będzie to podstarzała nokia, której użyję w schowku na mopy z przerażeniem i strachem. Moje koleżanki żyć będą w strachu, ja będę żyć w strachu, umrę w strachu i w strachu odbędzie się mój pogrzeb. Gdy się budzę z potem na czole i przyspieszonym oddechem, to czuję, że muszę ratować Pervin! Natychmiast pędzę do komputera, aby sprawdzić, co u niej, z wypiekami na policzkach czekam, aż minie czołówka prowadząca mnie prosto do jej domu. Cenię ją za odwagę, podpowiadam jej, że ma uciekać, zaryzykować, że jeszcze będzie wolna! [Spoiler alert]. Gdy umiera, rozdziawiam usta i czuję wielki zawód. Już prawie jej się udało, była na granicy, wsiadła do auta, miała tak wiele przed sobą, mogła być kimś, mogła być szczęśliwa. Straciłam przyjaciółkę i na chwilę zmarkotniałam. Poczułam, jakby i u mnie coś się skończyło, jakaś beznadzieja wkroczyła przez główne wejście i zagarnęła cały mój humor. Chyba potrzebuję czegoś lżejszego.

Zakumplowałam się więc z Jen i Judy, które w dziwny sposób zostały najlepszymi przyjaciółkami, a połączyło je morderstwo. Z impetem weszłam w ten abstrakcyjny duet i zadeklarowałam, że siedzę w tym z nimi. Najpierw Judy zabiła przez przypadek autem męża Jen, a potem Jen zabiła byłego Judy w ramach trochę zemsty, trochę żalu, trochę samoobrony. Gdy wyławiała jego zwłoki z własnego basenu, zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno jestem po jej stronie. Po co się w to pchać, po co kombinować? Nie lepiej zadzwonić na policję i wyjaśnić, że się rzucał, że agresywny, że trzeba było się ratować? Zazdroszczę jej odwagi i fryzury, bo nawet w towarzystwie trupa kosmyki jej blond grzywki układają się perfekcyjnie. Tak czy siak Jen zdecydowała się ukryć zamordowanego typa, więc i ja muszę zamknąć buzię na kłódkę, bo przecież przyjaciółek się nie zdradza. Obserwuję, co robią, i z podziwem śledzę ich losy i wspólne picie wina w łóżku. Im dalej w las z tymi wariatkami, tym bardziej czuję, że coś mi tu nie gra, że ludzie tak nie działają, że jak się kogoś zabije, to nie zaczyna się przyjaźni z żoną trupa, a skoro ta żona już wie, to tym bardziej nie zaprasza się jej na wino o pierwszej w nocy do pustej chaty. Zaczynam się mocno zastanawiać nad sensem swojego przymierza z Jen i Judy. Jeszcze chwilę je odwiedzam, po czym ewidentnie wymiękam, gdy widzę, że koleś, którego zabiły, właśnie puka im do drzwi. Ale zanim się dowiem po co, muszę kliknąć kolejny odcinek i wysilić się na trzydziestosekundową planszę z napisami. Nie tym razem, moje drogie. Kończę z wami.

I tak mijają mi dni i wieczory z moimi przyjaciółmi z Netflixa, którzy szybko przychodzą i szybko odchodzą. Czasem śnią mi się po nocach, czasem widzę ich sobowtóry na ulicy, a czasem mi się wydaje, że sama jestem nimi, gdy patrzę na swoje życie i nieudane związki. Bo kiedyś miałam chłopaka, co spodnie miał przetarte, słuchał metalu i bujne miał włosy. Błysk w oku może lekko słabszy, ale niebieski kolor niczego sobie. Szybko go olałam, gdy zauważyłam, że ten ostry look to pic na wodę i gdy przychodzi do całowania, to nawet zółw szybciej działa. Innym razem czułam się jak Pervin, bo spotykałam się z typem, co brodę miał gęstą, i chociaż pochodzenie jak najbardziej from Poland,

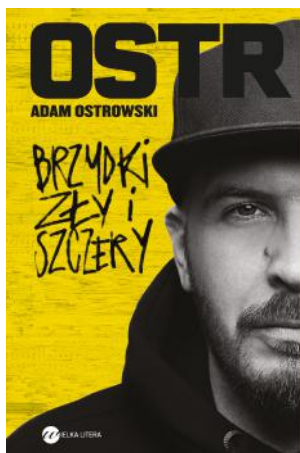
to mentalność wyjątkowo terrorystyczna. Przeglądanie wiadomości, zakaz wychodzenia z domu, podnoszenie głosu i ręki, instrumentalne traktowanie kobiet. Czułam, że żyję za kratkami i nie mam wyjścia, że będę już do końca pod ostrzałem wyzwisk i pijanych oczu. Miałam także przyjaźń podobną do Jen i Judy, mimo że nikogo nie zabiłam, choć czasem bardzo chciałam.

## **TOKSYCZNA RELACJA, KOBIECA ZAZDROŚĆ, PICIE WINA NA KANAPIE, OWIJANIE SIĘ WSPÓLNYM KOCEM I PSIOCZENIE NA FACETÓW.**

Choć mózg odsiewa te bolesne momenty i segreguje na miłe i te, co idą w zapomnienie, oglądając przygody swoich przyjaciół z Netflixu, przypominam sobie wiele rzeczy z przeszłości. Dochodzę wtedy do wniosku, że fajnie byłoby móc w życiu przełączyć to, co nudne, ominąć niewygodne i wyłączyć, gdy zmęczenie bierze. Wrócić czasem do pierwszego sezonu, przeanalizować jeszcze raz niektóre sceny, wyciągnąć wnioski, wzruszyć się podwójnie. Jednak skoro jest to niemożliwe, to korzystam z tego, co mam, i uciekam do swoich przyjaciół na ekranie, gdy ci prawdziwi zawiodą lub odwołają spotkanie. A odwołują je najczęściej z tego powodu, że wolą posiedzieć w domu i pooglądać Netflixu.

Więcej o książce przeczytasz [tutaj](#).

Zobacz również:



Zapraszamy na  
[wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)